

Od autora: 1/2

Czwartkowy targ cuchnął jak zawsze. Albo jak nigdy. Właściwie to chciałem oddać fakt, że w powietrzu unosił się smród potu ludzi spędzonych niczym bydło ze wszystkich okolicznych wiosek. Przeważnie tych, którzy mydło widzieli tylko raz na jakiś czas, kiedy cudem odnajdywali je pod warstwami brudu, wyścielającego ich kryte dachówką niechlujstwa chaty.

- A te ogóry, to co tak drogawo? Co je, panie? Co tak... – zaatakował mnie, a właściwie moją dupę, bo stałem odwrócony i szukałem siatek, Stefan Szwacz, który na targ przychodził zawsze na piechotę, no bo był z Dąbrówek, a to tylko dziesięć kilometrów... – A ty, słuchasz mnie w ogóle? Panie? No... - ...dziesięć kilometrów przeciętych rzeczką niesplugawioną kładką, dlatego przyłaził wiecznie mokry, tak jak jego żonka i chłopak, wsiok niemożliwy, którzy to wszyscy razem stanowili słynny, zwłaszcza w przydrożnych rowach, klan Szwaczy.

Uśmiechnąłem się.

Nie podałem mu ręki tak, jak reszcie klienteli. Wiedziałem, że z łap dziadygi ciągle paruje muł rzeczny i wiedziałem też, że skończyły mi się papierowe ręczniczki.

- A tej, kierwa – wsparł starego synalek Michał, co szkolił się na ogrodnika. Cały w błocie i żabieńcach – A te, te, pomidorzyska, też drogawo. Patrz ojciec – wskazał palcem na tekturową kartkę z ceną, tę, którą z wielkim trudem zamocowałem na wystawce kilka godzin temu. – Drogie, kierwa, jak gnój.

Młody Michał nie przeklinał, o czym wiedzieli wszyscy, bo ojciec płacił mu dwa złote od dnia bez przeklinania. Dla znudzonego piętnastolatka stanowiło to kwotę godną małych niedogodności językowych.

- No, kierwa, no – młody Szwacz był zde gustowany, gdy jego matka z dostojnością wielkomiejskiego jubilera oglądała każdy z mych wybornych pomidorów i z gracją koparki wyładowywała je, te pieczołowicie wybrane przez siebie, już po właściwej, KGB-owskiej inspekcji, do szmacianej torby. – Tej, drogo trochę, kierwa – wspomniał jeszcze raz dla pewności podrostek, gdy rodzinie przyszło już opuszczać mój warzywny przybytek.

Pomachałem im na drogę.

Siatki z zakupami, jak dostrzegłem wprawnym okiem, niosła mamuśka, no bo jej faceci to szczudła były, a ona, pracowniczka młyna, bicki miała wielkości pniaków. Baba jak Dąb Bartek po kuracji sterydowej. Kiedyś jeden z tych konarów złamał zresztą w lokalnej świetlicy Jędrzeja Siewcę, świeć panie nad jego trzeźwiejącą duszą, regionalnego mistrza w siłowaniu na rękę. Biedaka trzeba było karmić przez słomkę równe dwa tygodnie, ponieważ, dziwna sprawa, podczas pojedynku poszły mu oba łokcie, gruchnął też zdaje się obojczyk oraz pękła męska duma. Chociaż i tak po prawdzie to jego rekonwalescencja trwałaby sporo dłużej - oczywiście gdyby nie to, że w międzyczasie kiepnął na samego „Pana Tadeusza”.

Podniosłem wzrok. Robiłem to dosyć długo, ponieważ horyzont przysłaniały mi dorodne dynie, które co i rusz przestawiałem tak, aby stanowiły naturalną zaporę przed dymem z grilla państwa Bączków. To nie-przemiełe państwo bez pardonu opychało ludziom i swym brzuchom golonkę, kaszankę i resztę skubiącego do niedawna trawę inwentarza.

Bączkowie... znaczy jedni z tych knypków, którzy kurę wkraczającą na ich teren uznają za swoją. Pewnie dlatego za sąsiadów posiadali wyłącznie dwie samotne, zrujnowane procesami gnilnymi chałupy i jeden w miarę nieźle zachowany wychodek.

Wracając. Przy stoisku z papciami zauważyłem Azjatów. Od jakiegoś czasu całe chmary Japończyków tłumnie przybywały we czwartki na nasz wiejski targ. Przyczyna? Pan Adam, organizator wycieczek z ramienia biura podróży „Pan Adam”, eksploatował dokładnie rynek azjatycki.

Egzotycznym gościom chodziło głównie o zdjęcia starych babulin z chustami na głowach, koniecznie na tle sprzedawanego przezeń szczypioru czy marchwi. Ale najlepiej szczypioru i najlepiej w chwili, kiedy to matki Polki prezentują światu złote zęby i laski z chińskich fabryk. Moda taka. Podobno fotografie czarnoskórych kobiet z pierścieniami zakleszczonymi i na szyi czy reportaże z indyjskich slumsów zaczęły nudzić się zachodniej klasie średniej, stąd szuka się bardziej różnorodnych wynaturzeń.

Cmoknąłem.

Józef, ojciec trójki dzieci i tyłu samo porażek, wpychał się właśnie w isticie baletowym, starannie wystudiowanym zresztą dzięki butelce wina stylu, w kadr jednemu z Japsów. Odkąd zaczął pobierać opłaty za zdjęcia stał się zamożniejszą osobą. Teraz nie spogląda już podobno na wina z najniższej półki. Od razu kieruje wzrok na średnią, marzeniami sięgając nawet wyżej.

Ale dziwna sprawa.

Jeden z Japońców sfleszował Józefa dosyć niespodziewanie prosto między oczy. Śmieszna sytuacja, niby tak, ale Józef padł jak długi i przestał się poruszać. Nawet nie odprawił tańca glisty, ani nie wymiotował, jak to miał w zwyczaju, kiedy już faktycznie przychodziło mu padać jak długim, czym wzbudził spore poruszenie.

Targ zawrzał jakby ogłoszono niesłychane przeceny.

Pani Barbara, kobieta w wieku słusznym i posiadaczka wózka inwalidzkiego w równie słusznym wieku, drgnęła poruszona. Plama tłuszczu z rosołu na jej szacie – ubraniem trudno to było nazwać – powiększyła się znacznie, gdy kobiecina z wrazenia wylała na siebie przelewany akurat z termosu kompocik. Być może zrobiła to celowo, nie wiem. Kiedyś chciała zostać aktorką.

Tak czy inaczej... Józef nie żył.

Tak przynajmniej rzekł jakiś dziad, co sprawdzał mu puls, ale że dziad wyglądał na wiejskiego głupka, to potem ktoś jeszcze ten puls sprawdził. Dla potwierdzenia. Dopiero, gdy już kilku podobnych mu dziwaków rozpatrzyło rzeczony puls i orzekło zgodnie o śmierci, zaczęliśmy się wszyscy na targu prawdziwie martwić.

- Jezu, ale pogoda – westchnął, dla przykładu, ksiądz Marek.

Jestem pewien, że przeprowadzilibyśmy dosyć udany lincz przygodnego Japończyka, gdyby w porę nie dotarli do nas funkcjonariusze.

- Komienda policji w Labalbalowie – rzucił poważnie funkcjonariusz Trzódka. – Ploszę się odsunąć. Wypieldalać – jakiś kolo stanął mu na nodze, co gliniarz skomentował nerwowym potarciem się po gumowej

pałce. – Oficer Kingo, proszę zabezpieczyć obecnego tu kitajca. To baldzo, baldzo ważny mateliał do-
wodowy.

Oficer Kinga, młoda, blondwłosa funkcjonariuszka policji, skuła nic nie rozumiejącego turystę i powaliła go na ziemię z delikatnością człowieka, który wtłacza na plandekę Żuka worek podłej jakości ziemniaków.

Japończyk stęknął. Reszta Japończyków robiła zdjęcia.

- Baldzo bestialskie nie-samobójstwo – stwierdził Trzódka po wstępnych oględzinach denata. Kula przeszła na wylot czaszki Józka, jak robak, co przeżera jabłko i ma chętkę wrócić po biesiadzie na chatę tajnym skrótem.

Jakieś dzieciaki bawiły się obok w berka. Śmichy-chichy, a nawet nie zauważyłem, że któreś podprowadziło mi bakłazana ze straganu. Jakoś wielce mnie to nie zdenerwowało, ale i tak zacząłem wodzić po glebie w poszukiwaniu kamienia.

- To nie jest samobójstwo? – zdziwiła się urocza oficer Kinga. Przykucnęła przy truposzu, przewróciła go na brzuch, twarzą i długim, czerwonym nosem orając stwardniałe błoto, aż wreszcie zauważyła ciekącą krew oraz ranę postrzałową. – A, nie – określiła fachowo.

- No, to ten – rozpoczął procedurę Trzódka, ten cholerny służbista. – Musimy wszystkich przesłuchać. Wypieldalać na dzisiaj z ogólami. Koniec talgu. No i ten, Bączkowie, koniec mi z tym gllilem, ja tak nie mogę placować.

- Z czym? – zapytała dla świętego spokoju Bączkowa.

- Z balbekju – wyjaśnił inteligentnie Trzódka, pomny swej przypadłości. – Okoliczności i sens lozpylania tego dymu też mnie intelesują. Mogliśta koopelować z „Wiejskim Moldelcą”!

- Co robić? – zapytał dociekliwy Bączek.

- Z kim? – Bączkowa niespodziewanie trzymała stronę męża.

Trzódka miał dość już tych dywagacji, dyrdymałów i ustnych pierdnieć.

- Wypieldalać.

Tak oto rozpoczęła się niebezpieczna gra. Pogoń za „Wiejskim Mordercą” wkroczyła w fazę alfa.

Poszedłem sprzątnąć warzywa i trochę też tego dzieciaka od bakłazana.

Szykował się emocjonujący dzień!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 25.07.2014 05:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.